TYDZIEŃ
polityczny, naukowy, literacki i artystyczny.

Wychodzi co Niedziela numer arkuszowy. — **Rękopisma**, oprócz wyjątkowych razów, nie zwracają się. — **Ogłoszenia** wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą **1** sgr. od wiersza petitowego trzy-szpaltowego. — **Redakcja** w Dreznie.

REDAKTOR
JÓZ. IGN. KRASZEWSKI.

Prenumerata trwa do końca pierwszego kwartału; przyjmuje się u Wydawcy w Dreznie, we wszystkich znaczniejszych księgarniach polskich w kraju i za granicą i w Urzędach Pocztowych. — W Niemczech północnych z przesyłką (oprócz stępla) wynosi rocznie **talar. cztery.**

Rok I. Drezno, dnia 22. Maja 1870. № 21.

Drezno, 15—22. Maja 1870.

Celniejsze wypadki ubiegłego tygodnia zdaniem naszém, pomimo chwilowej wrzawy i rozgłosu jaki obudzić mogły, nie mają tak wielkiej doniosłości, byśmy się nad niemi zbyt obszernie rozpisywać potrzebowali. — Nie przypisujemy nadzwyczajnego znaczenia podróży cesarza Aleksandra i pobytowi jego w Berlinie, który jest demonstracją tylko obrachowaną na efekt chwilowy; ani sądziemy, że naród niemiecki wobec losu swych współbraci pod panowaniem rosyjskiem, da się pociągnąć niezrozumiałemu entuzjazmowi dla reprezentanta idei wręcz interesom jego przeciwnej.

W Austrji trwa przesilenie, którego rozwiązania uprzedzać domysłami niepodobna. Żywo nas obchodzi los braci naszej pod panowaniem Habsburgskiego domu, ale nie sądziemy, ażeby polepszenie jego kosztem idei, zasad lub interesów innych narodowości polepszyć się mogło. Czekamy więc z niecierpliwością, aby trud i zachody do czegoś jaśniejszego doprowadziły.

Nie zdziwi więc może nikogo, gdy na ten tydzień zawieszając nasze sprawozdanie z ruchu dziennikarskiego, zwrócim szczególną uwagę na fakt, pozornie mniejszych rozmiarów, ale dla nas i wedle pojęć naszych największej doniosłości. — Wszystko co jest objawem wewnętrznej pracy i życia w nas samych, o własnych siłach wyrabiającego się jako podstawa przyszłości, przybiera dla nas znaczenie niemal górujące nad efemerycznemi objawami polityki. Polityką naszą najjaśniejszą jest ocalenie bytu narodowego, na który składają się wszelkie możliwe potęgi duchowe i materjalne. Cokolwiek więc wykazuje, żeśmy na drodze pracy zdobycze nowe dokonali, lub dawny zasób uchować mogli, przybiera dla nas ważność niezmierną. Taką miała w oczach naszych wystawa przemysłowo-rolnicza w Kościanie, odbyta w dniu 17. i 18. Maja. Z bardzo wielu względów zasługuje ona na sprawozdanie, któreby jej moralne znaczenie wyświeciło. Żaden symptom życia nie rodzi się bez przyczyn głębiej w naturze społeczeństwa i jego organizacji leżących.

Wszystko co to życie jawniej nam na zewnątrz przedstawia, nabiera wagi jako symptom pewnego stanu zdrowego lub chorobliwego.

Nic skromniejszego na pozór nad wystawę płodów przemysłu i rolnictwa, ale te owoce pracy znamionują jej kierunek, natężenie, źródło, zasoby a nawet cele.

Księstwo poznańskie, od dawna zmuszoném zostało do zapasów na polu pracy z żywiołem niemieckim, umiejącym powolnie wcisnąć się wszędzie i trudem niezmożonym, niewidocznym ogarnąć i zdobyć czegokolwiek dotyka. Ta walka nierówna z razu, z której my sami długo oślepli zdać sobie sprawy nie umieliśmy; po doznanych stratach już, doprowadziła kraj do pojęcia położenia swego i wytężenia wszelkich sił ku obronie ziemi i bytu.

Jakkolwiek straty były znaczne i bolesne, nie wahalibyśmy

KOCHAJMY SIĘ.

OBRAZKI Z ŻYCIA WSPÓŁCZESNEGO

przez

J. I. Kraszewskiego.

(Ciąg dalszy.)

— Miałbyś odwagę, spytał, po setny pięćdziesiąty raz malować śmierć Sokratesa?

— A czemuż nie? zawołał Wacek — na oklepanych przedmiotach najlepiej się probuje oryginalność talentu. Śmieją się zawsze z zadań akademickich, aleć to przecie starzy gracze ci co każą malować po raz setny śmierć Sokratesa, gniew Achilla, Bryzeis i t. p. — prawdziwy tylko talent wyjdzie z takiego tematu zwycięzko.

— Masz waćpan słuszność! odparł Tatko.

— Ale ja mam zawsze słuszność! rozśmiał się Wacio. Tatko uważnie nań popatrzał.

— Ja ojca waszego znałem — rzekł cicho.

— Wkłada to na pana obowiązek, żebyś się synem opiekował, który bardzo opieki wszelkiej potrzebuje, odparł Wacio, przyszedł bowiem do Rzymu, niewiadomo czy z talentem ale niezawodnie bez butów, z dziurawemi kieszeniami i straszną surowizną w żołądku. Wystaw sobie pan od granicy same sałaty i warzywa!

Tatko się śmiał. — Cóż myślisz w Rzymie?

— Jestem pęzlator . . . niewiele umiem, ale ogromną mam odwagę, jutro gdyby mi dano salę do malowania w Watykanie, przyjąłbym bez namysłu. . . .

— Odwaga coś znaczy — uśmiechnął się stary.

— Teorję sztuki znam na palcach, i gdyby te palce równie praktykę znały . . . byłoby doskonale. . . .

— Jaki jest pański rodzaj?

— Mój . . .? ja wszystkie rodzaje kocham, na wybór jeszcze się nie mogłem jakoś zdecydować. . . . Żal mi historji, gdy się biorę do krajobrazu, a natury gdy się wezmę do historij. — Rzeczywistość i ideał wabią mnie na przemiany . . . pociągnę chyba na węzełki.

— Ale ku czemu serce się skłania!

— A! panie! westchnął Wacio — niestety, najwięcej ku próżniactwu. – Gybym mógł na sofie, z cygarem, założywszy nogi do góry po amerykańsku, mówić o sztuce . . . a nie potrzebować walać palców . . . byłbym najszczęśliwszym!!! Malowałbym w myśli cudowne rzeczy. . . .

się uznać, że nabyte w zapasach przymioty i władze nie ledwie je nagradzają. Odnieśliśmy korzyści moralne, których skutki w przyszłości dopiero całkowicie uwydatnić się mogą. Już to samo, że mamy świadomość wad naszych i zasobów, wiedzę potrzeb i zadań społecznych, z niemałym potem i wewnętrznem łamaniem zdobytą, rodzi większą otuchę. Ale oprócz tego nabyliśmy niezawodnie sił też, które nieprzyjaciele i współzawodnicy nasi uznać są zmuszeni.

Podstawy materjalnego bytu są lepsze i trwalsze niż były przed laty kilkudziesięciu.

Wystawa Kościańska najświetniejsza z tych, jakie ostatniemi laty urządzano w Wielkiej Polsce, z tego szczególniej względu jest ważną, iż nam kilku przynajmniej powiatów Księstwa zaznacza stan rolniczy, przemysłowy byt ich materjalny i do pewnego stopnia organizacją społeczną. Oprócz powiatu Kościańskiego, przemysł i rolnictwo sąsiednich w części też reprezentowanemi były. Sama miejscowość swém położeniem niedalekiem od Poznania i w jednej z najbogatszych a najświetniej stojących pod względem gospodarskim okolic, przyczyniła się do nadania wystawie bardzo uderzającej fizijognomij. Zamożność posiadaczy wielkich majętności szczególniej się dobitnie widzieć dawała. Charakter też wystawa miała pański, wspaniały, wytworny i mało prowincjonalnych ekspozycij mogłoby się z nią porównać.

W niewielkiej odległości od starożytnego miasteczka, na kilkudziesięciu morgach użyczonego placu, zgromadzono co tylko mogło dać wyobrażenie o zamożności kraju i świetnym jego bycie materjalnym.

Plan bardzo pięknie pomyślanego urządzenia placu, wykonany był przez inżenjera p. Urbanowskiego, plany budowli wzniesionych na nim, dawał p. Margowski budowniczy z Kościana, ale rzeczywiście wszystko było dziełem komitetu, na którego czele stał hr. Czarnecki. Dziedzice znaczniejszych dóbr z okolicy: hr. Chłapowscy, hr. Żółtowscy, hr. Kwileccy, hr. Węsierscy, Karszniccy, Potworowscy, Szczanieccy, hr. Mycielscy i t. p. chętnym i gorącym współudziałem przyczynili się dzielnie do uczynienia wystawy prawdziwie wspaniałą.

Na obszernym placu, przyozdobionym w smakowną trybunę, kilka pomniejszych budowli kształtnych i świeżo a wykwintnie wyglądających, wodotrysk, trofea rolnicze i t. p. wznosiły się do koła szopy na okazy, wpośrodku miejsca dla bydła, koni, klatki dla drobiu i t. p. Z góry widziany plac bardzo obszerny, przedstawiał całość imponującą, której szczegółowe obejrzenie bynajmniej nie odejmowało uroku wywartego pierwszém wrażeniem. Owszem począwszy od koni, bydła, do machin gospodarskich i wyrobów przemysłu fabrycznego, wszystko zasługiwało na uwagę i ściągnąć musiało oko nawet nie znawców.

W dniu poprzedzającym otwarcie, już zjazd gości i wystawców był bardzo znaczny, a nazajutrz rano plac zalegali ciekawi ze wszystkich stron Wielkopolski, z Prus, z Galicji, z Królestwa i dalszych części polskiego kraju przybywający co chwila. Mały stosunkowo udział, jaki Królestwo wzięło w wystawie Kościańskiej, przypisać należy współcześnie otwartej na Szlązku, nad samą granicą w Byczynie, dokąd ściągała blizkość i ułatwienia poczynione ze strony władz rosyjskich. Chociaż wystawa w Byczynie nie mogła iść w porównanie z Kościańską, goście z Królestwa daleko tam byli liczniejsi. Tu za to reprezentowaną była Galicja, Prusy i inne prowincje, liczbą niemałą, a nadewszystko osobistościami wybitnemi.

Nie mamy najmniejszej zdolności ani pretensji do opisania kompetentnego wystawy, spełnią to znawcy, lecz z naszej strony damy tylko jej charakterystykę, która w mnóstwie szczegółów dla samych widzów zniknąć mogła. Uderzała głównie wspaniałość okazów i pańskie urządzenie tej uroczystości rolniczej. — Nie powstydzilibyśmy się tu nikogo z najcywilizowańszych krajów Europy, tak zamożność prowincji i wykształcenie jej objawiały się zwycięzko. Słyszeliśmy zdania ludzi, którzy niedawno oglądali podobne wystawy prowincjonalne w Ameryce i Kościańską znajdowali z wielu względów wyższą nad nie.

Idąc porządkiem, wskazanym przez katalog, wymienim konie z Będlewa, Wrączyna, Karczewa, Międzychodu, Zakrzewa, bydło uderzającej szczególnie piękności, doboru i rasy z Czerwonej wsi, z Bonikowa, z Mchów, Będlewa, Morownicy i t. p., owce hr. Chłapowskich premijowane na wystawie Paryzkiej, trzodę chlewną, drób i t. d. Pszczelnictwo i jedwabnictwo, produkta gospodarskie, ogrodnictwo, machiny i narzędzia rolnicze (wśród których Cegielskiego się odznaczały), naczynia i sprzęty gospodarskie; przemysł rolniczo-techniczny, bardzo świetnie także były reprezentowane.

Szczególną uwagę musiały zwrócić okazy ogrodownicze, wśród których w Maju dojrzałe winogrona, spore śliwki, poziomki, olbrzymie szparagi, ananasy, ogromne kamelje i róże Niechanowskie nęciły oko. Fantazyjny szałas myśliwski hr. Ignacego Mycielskiego mógłby był na wystawie Paryzkiej figurować, z takim urządzony był smakiem i wytwornością.

Po za tém wszystkiém dalej naprzeciwko trybuny, w drugim końcu placu, w ozdobnym szałasie ciągnęła oko wystawa kółek włościańskich, skromne wyroby ludu: séry, płótna, ziarna, przędziwo, trochę trzódki i prawdziwie zadziwiająca młockarnia, i szrotownia z sieczkarnią, zbudowana pomysłem Augustyna Nowaka z Targowiska pod Śmiglem. Chłopek na wzór widzianych, sam sobie ją na skalę swych budowli i potrzeb obmyślił i wykonał. Kupka ludzi stała przypatrując się temu wyrobowi, którego narodziny sam wynalazca tłumaczył. — Oddział ten, jako zawiązek przyszłości, wielce był zastanawiający.

Wyliczyć zresztą trudno wszystkich nawet rodzajów wy-

Ruszył ramionami.

— Lenistwo, odparł Tatko, bywa znamieniem talentu . . . ale niekoniecznie mu pomaga do wzrostu. . . .

— A wie pan — rozśmiał się Wacio, że pracowitość może najpiękniejszy dar w drobny proszek zetrzeć . . . będzie można potém nim dijamenty szlifować, ale oprawić go w oczko do pierścienia nie sposób.

Tatko zbliżył się z ciekawością do oryginała i pociągnął go za sobą. Wacio nie był od tego, żeby się z całym dowcipem nie popisać przed starym, poszedł z nim i jak paw ogonem roztoczył całym zasobem swojego jenjalnego dziwactwa.

Zagadali się długo i pokochali wzajemnie; stary przypomniał sobie dopiero, że miał Beppa zamówić do muzeum na jutro. . . .

— Słuchaj Czarny, rzekł zwracając się do niego, masz być jutro przed południem w Muzeum Pio-Clementino i czekać tam na mnie. Jest tego konieczna potrzeba.

— Potrzeba?

— Tak, proszę o to, spuść się na mnie.

— A ja? mam także przyjść do Muzeum? — zapytał Wacio.

— Czemuż nie! odparł stary, przynieś tylko z sobą swoją wesołość, zapał dla sztuki . . . i uzbrój się jak na kampanię.

— Cóż to tam ma być? przerwał Wacek.

Ale na to nie otrzymał odpowiedzi, stary wziął za kapelusz i pociągnął ku drzwiom.

Kawiarnia powoli stawała się co raz puściejszą, jedni po drugich wysuwali się artyści i niknęli w ciemnościach, noc była późna. . . . Beppo wstał a Wacio, który jeszcze nie dosyć był z Rzymem obeznany, zerwał się iść za nim.

Wracając do domu, zastali już Polę, która się zarumieniła na widok Czarnego i pozdrowiła go niewyraźnem słówkiem. Wacio postrzegł to pomięszanie na twarzy dziewczyny, wpatrzył się w nią mocno i wchodząc do izby zawołał śmiejąc się:

— Ale darujże mi Beppo — dali pan tak złego gustu nie spodziewałęm się po artyście . . . ta dziewczyna??

— To córka gospodyni. . . .

— Ale ona patrząc na ciebie była tak pomięszaną?

— Dajże mi pokój.

— Widzisz, kochanie moje — odparł Wacio, całej korporacji takim romansem ze starzyzną czynisz zakałę, powiedzą, że nie mamy poczucia piękna.

— Ale gdzieżeś ty romans upatrzył? ruszając ramionami spytał zniecierpliwiony Czarny.

— A! no! spuść się na mnie . . . coś jest! tylko ja nie dopuszczę takiej kompromitacji. . . .

robów i okazów wystawy bogatej szczególnie w piękne bydło i konie, w narzędzia gospodarskie, a w okazy przemysłu fabrycznego najmniej zasobnej. — Programm mimo słoty, która dnia pierwszego przeszkadzała i zastraszała, spełnił się cały szczęśliwie.

O godzinie trzeciej prof. Szafarkiewicz w sali obiadowej miał bardzo zajmujący odczyt o urabianiu torfu i o zasadach, wedle których wystawiony był na placu wystawy dom murowany włościański (czworaki). — Jedna to była z ozdób i ciekawości wystawy...

Po odczycie prof. Szafarkiewicza i rozprawach, które się wywiązały z niego, miał miejsce wspólny obiad, który zgromadził kilkaset osób i zbliżył ziomków z odległych prowincij. — Drugiego dnia odbywała się aukcja bydła, koni i baranów, próby machin, ogłoszenie nagród i wyścigi. Prześliczna pogoda zgromadziła tysiącami ciekawych — a trybuna w czasie kursów szczególniej, które bardzo szczęśliwie się powiodły, jaśniała jak rozkwitnięty ogród świeżemi barwami i twarzami...

Naostatek uroczystemu zamknięciu towarzyszył rodzaj obrzędu, który był wielce malowniczy i dozwolił nam widzieć najpiękniejsze stroje ludowe z okolicy. Premjowane bydło i konie prowadzone przez włościan, których poprzedzał konno komitet wystawy — przeciągało wśród oklasków przed trybuną w tryumfie... ze zdobytemi na placu boju chorągwiami.

Kilka wreście wozów włościan świątecznie poubieranych, niby weselnych, prowadził zastęp konny szlachty przewodnicząc im i wiodąc za sobą... Pełne znaczenia było to wesele ludu i to dowództwo nad nim panów a szlachty, przekonywającej że nie straciła tradycji i poczucia wielkich swych obowiązków. Tak, szlachta i możni przodem iść chcąc, w pracy, w wykształceniu, w ofiarności, rozumem, cnotą, trudem wieść za sobą powinni... szczególniej ten lud, na którego losy do dziś dnia największy wpływ wywierają. Do tego boju z przemysłem niemieckim, z zamożnością niemiecką, z cywilizacją, z pracą szlachta prowadzić, wodzować i wspomagać musi a spełni posłannictwo i usprawiedliwi prawa swoje. Dawniej krwią, dziś potem ofiarnym trzeba walczyć dla ojczyzny.

Wystawa Kościańska dwa żywioły społeczne szczególniej nam wykazała jako żywe i dzielne, — szlachtę a lud. Stan średni albo był słabo i nieznacząco, lub przemysłem przeważnie obcym reprezentowany. Jest to jedyny symptom, który by mógł był zastanowić a może zasmucić. Nie chcemy się rozwodzić nad nim, zapisujemy fakt i wrażenie, sąd o niem i wykład fenomenu pozostawiając... na później. Nie sądziemy aby się to co wymieniamy, zaprzeczyć dało; ani byśmy chcieli wyciągać z tego smutnego wniosku, iż stan średni, intelligencja, przemysł itp. albo są upośledzone, lub niemają zasobów i sił do życia.

Tłumaczyć to raczej potrzeba naturą wystawy rolniczej, gdy do roli powołanym jest szczególniej lud i szlachta. Z wyjątkiem fabryki Cegielskiego, na bardzo świetnym stopniu pozostawionej przez zmarłego jej założyciela, przemysł ubogo był reprezentowany, temu zaprzeczyć niepodobna. Okazy jego nikły przy przepysznych owocach gospodarstwa wiejskiego. A jednak przemysł fabryczny jest w tak ścisłym związku z rolnictwem, iż jedno bez drugiego żyć i rozwijać się nie może silnie. A jednak i społeczność w stanie normalnym, potrzebuje tego rozsadnika, z którego w Anglij wypełniają się szczerby klas wyższych, arystokracją pracy i jenjuszu — i żaden naród bez silnie rozwiniętej klasy średniej, żyć dziś niepotrafi życiem pełném i zdrowém. — Jest to uwaga tylko, która się mimowolnie nastręczyć musiała patrzącemu.

W pobieżnych tych kilku wyrazach rzuconych na papier pospiesznie pod pierwszém wystawy wrażeniem, zdajemy tylko sprawę, z osobistego naszego poglądu, zostawując kompetentniejszym sędniom, rozbiór jej umiejętny.

Niech nam wolno będzie zakończyć nietylko życzeniami bratniemi szczęśliwej przyszłości, torem tradycij narodowych idącej, ale zarazem podzięką w imieniu licznych gości z taką gościnnością staropolską i uprzejmością w Kościanie przyjętych.

Korrespondencye.

Listy Soborowe.

XIX.

Rzym, 12. Maja.

(γῆ.) W ogólném głosowaniu nad schematem *De parvo catechismo*, oprócz 58 głosów przeciwnych, do których dodać należy głos biskupa orleańskiego, mnodzy przytém biskupi odpowiedzieli *placet juxta modum* czyli głosowali *sub conditione*.

To rażące a całkiem niespodziane niepowodzenie schematu miało za skutek nową zwłokę w rozpoczęciu rozprawy o pierwszeństwie rzymskiego pasterza i o nieomylności jego. Spodziewano się, iż podług ostatniej zapowiedzi kardynała De Angelis oczekiwana z taką niecierpliwością dyskusja zacznie się zaraz na pierwszej kongregacji która nastąpi; ale opór wywołany przez schemat o katechizmie okazał potrzebę nowych w nim zmian. Deputacja dyscypliny wzięła się tedy znowu do roboty i tą razą dała, jak zapewniają, dowody znakomitej umiejętności, bezstronności, sprawiedliwości. Ks. arcybiskup Wierzchlejski miał się osobliwie odznaczyć w tej pracy. Przerobiony na nowo schemat udzielony zostanie Ojcom na posiedzeniu tajném Soboru dnia jutrzejszego. Obaczym czy przejdzie tą razą i czy jednomyślność uzyskać zdoła.

Żartując tak Wacek posłał sobie na ziemi, zapalił cygaro, zaczął śpiewać i [w pół kwadransa chrapał. . . . Beppo siedział zamyślony po ciemku, spać nie mógł. Pola na galerji oparta . . . przyglądała się ciemnym oknom mieszkania.

Nazajutrz przed jedenastą już Wacio był ubrany z artystycznym szykiem. . . . Chociaż bez grosza przybył do Rzymu, ale w tłomoczku miał przepyszny krawat niebieski, aksamitny surducik i cały strój, w którym mu było do twarzy. — Do Muzeum nie mógł się ubrać inaczej, gdyż lubił ściągać oczy na siebie; wyrzucał nawet Czarnemu, że się ubierał zbyt skromnie. W galerji tego dnia jakimś wypadkiem było pełno. . . . Do koła lasu posągów roił się tłum ludzi wszelkiej narodowości; a znamienitsze arcydzieła w formalném trzymano oblężeniu.

Około olbrzymiego Tybru spotkali się zaraz z Tatkiem, który rozprawiał wesoło jak zawsze z hrabiną, panną Fanny i Cesią. Na widok Beppa, blada uczennica jego zarumieniła się, odwróciła, aby nie okazać wzruszenia i opamiętawszy jakoś rychło, postąpiła doń podając mu rękę uprzejmie. Beppo sztywno i bojaźliwie się przywitał, a że mu to było na rękę swojego towarzysza przedstawił.

— Ja także polecam łasce pań pana Wacława, którego ojca znać miałem przyjemność. Wczoraj już zrobiliśmy znajomość, mogę zaręczyć, iż do ożywienia artystycznej rozmowy drogocenny w nim zyskujemy nabytek, dodał stary.

— Panie łaskawy — odezwał się Wacio kłaniając — jest to pochwała nie zasłużona — ale się w niej trochę sarkazmu obawiam . . . bo wogóle kto wiele i dobrze mówi o sztuce . . . ten . . . mało i źle tworzy . . . a ci co tworzą — milczą.

— A! są wyjątki! — rozmiał się stary.

Panna Celina przypatrywała się ciekawie przybylcowi, Beppo i ona odzyskali na chwilę straconą przytomność i śmiałość, Wacio zawiązawszy rozmowę już zamilknąć nie mógł. Musiał się przed paniami popisać z humorem, młodością i zasobem życia. . . .

Hrabina i Fanny, mimo dowcipu, znalazły go dosyć pospolitym i wcale nie *comme il faut*, Cesi się podobał. Miał w jej oczach tę wyższość nad milczącym Beppo, iż mówił i był wesoły, a zdawał się odważny, gdy Czarny często mógł uchodzić za bojaźliwego.

Tchórzów wszelkiego rodzaju kobiety nie lubią.

Kleiła się już ogólniejsza rozmowa, gdy w drzwiach sali sparty na ręku pani Elizy, — blady — interesujący — smętny ukazał się Staś Leliwa. . . . Za niemi w tropy szedł żywym krokiem hr. Roman i Ukrainiec. — Wszyscy znajomi z różnemi uczuciami zbili się w jedną gromadkę, szpiegując

Czwarte posiedzenie publiczne, na którém ogłoszony będzie, nastąpi na Zielone świątki.

Mówią, że pewna liczba biskupów włoskich, za poradą austrjackich i węgierskich, uznała także niestosowność zmienienia katechizmu od wieków we Włoszech używanego i przyjęcia tego, który komisje soborowe wygotowały, pożyczając wiele u Bellarmina.

Jednak rozprawa o nieomylności, jakkolwiek trochę spóźniona, rozpocznie się niebawem. Już d. 9. Maja rozdano Ojcom schemat o nieomylności, przerobiony podług poprawek niektórych biskupów, oraz spory tom liczący przeszło dwieście stronnic a zawierający poprawki i spostrzeżenia członków Soboru o nieomylności.

Stronnicy dogmatycznego orzeczenia między biskupami podpisują tym czasem dziękczynny adres do Papieża, wyrażając mu swą wdzięczność za to, iż pozwolił, aby przystąpiono nakoniec do upragnionej dyskusji. Adres ten tchnie uniżonością, przystojniejszą dworakom niż pasterzom Kościoła Bożego, przemawiającym do starszego brata swego. Zapewne, iż Namiestnik Chrystusowy jest najwyższą na ziemi osobą; ale jest zawsze człowiekiem a nie Bogiem. Pochlebstwo staje się bardzo niebezpieczném, kiedy się subtelnie ukrywa pod postacią hołdu oddawanego Zbawicielowi w śmiertelnej jednostce i w nieograniczonym niby zapale przedstawiciela z przedstawionym, stworzeniu ze Stwórcą. Nie mamy nic przeciwko czci składanej Najwyższemu Pasterzowi, owszem, chcielibyśmy, aby jak najwięcej ust ją wyrażało; ale pragniemy zarazem, by ta cześć utrzymywała się w granicach godności i nie przypominała pogańskiej apoteozy, w jaką od lat kilku ultramontanizm ją zamienił. „Postawiano bożyszcze w Watykanie,“ pisał wielki Karol de Montalembert na śmiertelnej już pościeli. Jakoż ta wszechzgoda najwyuzdańszego religijnego dworactwa przypomina mimowolnie czasy Cezarów i staje się obrazą dla tego, który nosi najpiękniejszy tytuł w świecie, tytuł Sługi Sług Bożych.

Mają także podać Ojcu Świętemu pisemne oświadczenie wielu księży, biskupów i kardynałów, którzy postanowili wszyscy odprawić tego samego dnia nabożeństwo, aby rozprawa o nieomylności wypadła podług gorących większości życzeń.

Z przeciwnej zaś strony dowiadujemy się, iż pewna liczba biskupów włoskich, zadając kłam nieograniczonej powolności włoskiego episkopatu, udała się do Ojca Świętego z kardynałem Morichinim na czele, i błagała go usilnie, aby ze względu na nieobliczone następstwa i niebezpieczeństwa udogmatyzowania nie zezwolił na ogłoszenie nowego dogmatu. Pius IX. odpowiedział im, że obliczył już te następstwa i rozważył niebezpieczeństwa, że w czasach tak burzliwych chce zostawić następcom swoim powiększoną powagę, wzmocnione rządy i władzę i spotęgowany urok papieztwa; że przeto za nic w świecie ogłoszeniu dogmatu nieomylności nie sprzeciwi się, jeśli go Sobór uchwali.

Opozycja, zamiast rozstopić się i zniknąć, jak ultramontańskie dzienniki obiecywały sobie, coraz dzielniejszą, szczelniejszą i odważniejszą się staje, a Duch pański unosi się widocznie nad nią i oskrzydla ją nadziemskiemi pióry Gołąbki Bożej. Ojcowie z opozycji gotują znakomite mowy, i co dziwniejsza zyskują nowych zwolenników, kiedy już wszędzie głoszono, że się ich szeregi przerzedziły i że znaczna ich część przyłączyła się do większości. Zapewniają nawet, że jeden z kardynałów legatów a prezes deputacji dogmatu, kardynał Bilio, domniemany autor sławnego *Syllabusa*, przeszedł na stronę ks. Strossmayera i ks. Dupanloup i wyraźnie oświadczył Papieżowi, że nie może żadną miarą zgodzić się na orzeczenie nieomylności pasterzy rzymskich w sposób, w jaki większość soborowa zamierza to uczynić. Skutkiem tej rozmowy Pius IX. miał być pogrążony w wielkim smutku i bólu, i doznawać niezmiernej niespokojności. Wkrótce ulubieńca swego nanowo wezwał do siebie i miał z nim bardzo długą powtórną rozmowę. W ciągu tej rozmowy kardynał Bilio prosił Ojca Świętego, aby mu wolno było na czas jakiś oddalić się z Rzymu. Inny legat kardynał Capalti miał się także oświadczyć przeciwko udogmatyzowaniu nieomylności, coby jeszcze dziwniejszém było, gdyż kardynał ten uchodził dotychczas, jak wiadomo, za nieprzejednanego przeciwnika opozycji, i on to wywołał głosną demonstracją większości soborowej przeciw ks. Strossmayerowi, która w tak gorszącą zamieniła się scenę. Zapewne blizki czas nam wyświeci, ile mieści się prawdy w pogłoskach, o przejściu kardynałów Bilio i Capaltego na stronę mniejszości. Dodają nawet, że podobny odwrót uczyniony został temi dniami przez kardynała Riario-Sforza arcybiskupa neapolitańskiego z kilku biskupami z południowych Włoch i przez kardynała Carafę arcybiskupa benewentańskiego. Poczekajmy także na potwierdzenie tej wiadomości.

Ks. Tizzani ślepy arcybiskup nizibijski, jeden z najuczeńszych biskupów na Półwyspie włoskim, tuszy sobie, iż wynalazł formułę orzeczenia, za pomocą której zdoła pogodzić mniejszość z większością soborową. Gotuje on długą i uczoną mowę w tym przedmiocie, którą powie skoro rozprawa o nieomylności się zacznie.

Ks. Saint-Marc arcybiskup z Rennes wyjechał za urlopem do Francji. Jest to jeden z najgorętszych infalibilistów. Ojciec Święty czule go żegnał i wyraził mu swój żal z powodu jego odjazdu.

Sprawa ormiańska jak najsmutniej się skończyła. Już wróżbę i początek odszczepieństwa kościołów wschodnich znaleść można było w tej nieszczęsnej mowie Piusa IX. przy otwarciu Wystawy rzymskiej, kiedy wyraźnie oświadczył pasterzom wschodnim, że zostawi im obrzędy ale odbierze dyscyplinę, to jest odwieczne narodowe zwyczaje każdego z tych kościołów, a biskupi zaś na to oświadczenie uderzyli w głośne narzekanie i jęki. — Mnisi ormiańscy reguły św. Antoniego opata mający klasztor w Rzymie za kolumnadą św. Piotra, naśladowali swych braci Carogrodzkich i jawny podnieśli rokosz po odmowie dworu rzymskiego, złożenia z patryarchatu znienawidzonego ks. Hassuna, po namiętném prześladowaniu jednego z nich przez agentów Inkwizycji Świętej, którzy go ścigali jak zbrodniarza, i po skazaniu na rekolekcje ks. Bachtiariana arcybiskupa z Diarbekiru za to, że pomienionego mnicha a sekretarza swego nie chciał wydać w ręce inkwizytorów. Zawsze i wszędzie *brachium saeculare* szkodziło

---

oczyma. Nieco opodal przez szkiełko wpatrywała się ciekawie w współziomków hrabianka Dorota.

Spotkanie to trafunkowe, czy może umiejętnie przygotowane, szczególnie dla panny Cecylii było kłopotliwém. Miała przed sobą dwóch ludzi . . . z których jednego kochała dawniej, dla drugiego uczuła prawie uwielbienie. . . . Z tych dwóch jeden sam się zrzekał praw do jej serca, drugiego jej odebrano. . . .

Na widok pani Elizy kobiety ze zręcznością sobie właściwą, zwróciły oczy na posągi i już szukały sposobu wymknięcia się bez powitania, gdy owa siostra miłosierdzia równie wprawna i przebiegła, głośném, śmiałem powitaniem, przecięła odwrót zamierzony. Niepodobna się było nie przywitać bez obrazy — ale hrabina zrobiła minkę kwaśną, Fanny dumną . . . i skinęły główkami dając do zrozumienia, iż czynią to z przymusu nie z dobrrj woli.

Cesia tylko zapomniawszy urazy, żalu, smutku, pospieszyła naprzeciw pana Stanisława, którego od przypadku jego nie widziała i pozdrowiła go z anielskim wyrazem dobroci.... Spojrzenie, które na nią rzuciła pani Eliza, było pełne gróźb i gniewu. — Stanisław z braterskim weselem ją przywitał, nie domyślając się, że zazdrość obudzi.

W chwili gdy panna Cecylja rozpoczęła swobodnie rozmowę z Leliwą, hr. Lutyńskim i Ukraińcem, którego udział był niewielki, bo ograniczał się kiwaniem głowy, uśmiechem i wzdychaniem; hrabina którą widok Elizy burzył, bo miała do niej żal, że jej wydarła Stasia, a ubrała go pozorem oburzenia przeciw skandalowi — odwróciła się do Fanny, zaczęła jakiejś Venerze przypatrywać się przez szkiełko i niby niezmiernie nią zajęta wysunęła się, czyniąc widoczną manifestacją.

Sądziła, że Cesia pójdzie za nią, ale ta heroicznie usiłując macierzyńskie wystąpienie opłacić grzecznością własną, pozostała sama jedna. Wzrok Tatka podziękował jej za tę odwagę.

Eliza dojrzała uczynionego afrontu, zarumieniła się straszliwie, zadrżała, ścisnęła rękę pana Stanisława, ale wprędce ukoiła się i pomiarkowała.

Leliwa nic nie rozumiał, nie widział, nie domyślał się — był najniewinniejszym w świecie, bo się do żadnej nie poczuwał winy. Zostali więc tak w małej gromadce gwarząc niby swobodnie, aby pokryć pomięszanie wewnętrzne.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Kościołowi a przemoc materjalna bywała najgorszą i najniebezpieczniejszą służebnicą władzy duchownej. — Prześladowanie to rozjątrzyło ormiańskich mnichów, w których uczucie narodowości i solidarności rozwinięte jest do najwyższego stopnia. Nie chcieli oni poddać się wizycie apostolskiej, od której byli zawsze wolni, a opat ich ks. Kazangian arcybiskup antyocheński przyjąć nie chciał wizytatora ks. Valenziani biskupa z Fabriano. Skutkiem takiego oporu, po trzykrotném bezowocném upomnieniu, Papież obłożył interdyktem mnichów ormiańskich wraz z ich opatem, a potém kazał ich wyrugować z klasztoru ze wszystką młodzieżą ormiańską kształcącą się u nich. Napróżno ambasador francuzki usiłował przeszkodzić tak ostremu rozporządzeniu. Wypędzeni mnisi otrzymali paszporta francuzkie i opuścili Rzym. Dwóch starców tylko zostało przy opacie jeneralnym, któremu zakazano się oddalać jako biskupowi podczas Soboru, chociaż pod interdyktem się znajdując nie mógł w Soborze brać udziału. Jednak przed kilką dniami ze zdumieniem się dowiedziano, iż arcybiskup antyocheński i arcybiskup diarbekirski uciekli obydwaj z Rzymu z dwoma ostatnimi mnichami ormiańskimi, a w próżnym klasztorze znaleziono tylko złożone na krzyż chorągwie turecką i francuzką i przypięty do nich firman sułtański, który przyznaje ks. Kazangianowi godność arcybiskupa antyocheńskiego, dotąd mu wyraźnie nie przyznaną przez Propagandę.

Zaledwie mnisi ormiańscy i ich arcybiskupi opuścili Rzym, aliści gruchnęła wieść, iż biskupi chaldejscy zaczynają stawiać coraz silniejszy opór rozporządzeniom rzymskiej władzy, a oraz otrzymano od ks. Pluyma delegata apostolskiego w Carogrodzie telegram donoszący, iż naród chaldejski grozi odszczepieństwem od Kościoła rzymskiego.

Ks. Sosnowski razem z biskupami galicyjskimi otrzymał u Ojca Świętego, iż wyznaczył umyślną kongregacją kardynałów dla spraw polskiego Kościoła. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa Kościół polski pod moskiewskim zaborem będzie wkrótce ogłoszony jako znajdujący się *in partibus infidelium*, a Ojciec Święty zamianuje z własnego ramienia biskupów na wszystkie wakujące stolice nasze od morza do morza z tytułem i prawami wikarjuszów apostolskich, jak w Japonji i w Chinach. Jeżeli ten zamiar przyjdzie do skutku, największa wdzięczność będzie się należała czcigodnemu Piusowi IX. od Narodu polskiego, niemniej jak zacnym pasterzom polskim, którzy tak ważny krok natchnęli i wyjednali.

Jednak niezmordowani przyjaciele Moskali i prześladowcy własnych ziomków starają się na każdym kroku pokrzyżować tę pracę. Kiedy Ojciec Święty rozkazał ogłosić w *Osservatore romano* przekład okólnika ks. Piotrowicza, jeden z tych ludzi, dobrze wszystkim znany, protestował aż na pokojach Watykańskich, że się dzieje krzywda i że wyrządzono *niesprawiedliwość* Rosji, że car się obrazi a los katolików się pogorszy przez takie publikacje i t. d. Te niegodziwe lamenty sprawiły, iż zawieszono z wyższego rozkazu dalszy ciąg pisma naszego polskiego bohatera, i potrzeba było wielkich zabiegów i próśb, aby wyżebrać wolne puszczenie tego ciągu. Po długiej nareszcie przerwie małe wyjątki tylko z okólnika ukazały się wczoraj na dokończeniu. I któżby się spodziewał, że ks. Piotrowiczowi w Rzymie nawet przyjdzie walczyć z Moskwą i rusofilami?

W numerze 19. „Tygodnia“ z 8. Maja znajdujemy dalszy ciąg korespondencji z dekanatu ołobockiego, z niektóremi uwagami przeciwko nam, a oraz komunikat bez miejsca i daty, który nie wiemy czy mamy uważać za *post-scriptum* tejże ołobockiej krytyki. Obudza ona w nas najwyższą wdzięczność, bo dowodzi nam, że kronika soborowa „Tygodnia“ jest czytaną. Ośmielamy się przecież uczynić także z kolei uwagę naszym krytykom. Listy nasze są przedewszystkiém sprawozdaniem a nie rozprawami. Pisujemy dorywczo, na polu samém jednej z największych moralnych walk, jakie dzieje pamiętają, wśród ścierających się szeregów, na kilku milach kwadratowych, na które świat cały ma oczy w tej chwili zwrócone, w wirze uczuć, słowa, namiętności, prac, zabiegów, brzemiennym moralną przyszłością świata. Nie możemy, jak nasz czcigodny krytyk, rzec: *Deus nobis haec otia fecit*, nie mamy nad naszą głową spokojnych, cichych, sielankowych ołobockich niebios, gdzie czas liczy się jeszcze na długie dni stworzenia, jak za patrjarchów, gdzie możnaby nawet spokojnie pisać sobie pod lipą poczciwe soborowe gawędy. Tutaj czas rachujem gorączkowo na chwile, na sekundy i nie odczytujem tego co piszem. Krytycy nasi powinniby przez delikatność uwzględnić takie żołnierskie położenie i oszczędzić nam rozpraw, odpowiedzi, a osobliwie ogólników, ciężkich, nielitościwych ogólników, nic koniec końcem niedowodzących. Pisać trzeba zwięźlé, jasno, szybko i iść wprost *ad rem*. Uczyć nas tego, co się nam dziesięćkroć przelało przez uszy, dowodzić nam tego, o czém stokrotnie jesteśmy przekonani, to strata pracy dla krytyka a czasu dla nas. Powiadam strata czasu dla nas, bo gdyby szanowni ci panowie raczyli swe spostrzeżenia i reklamy słać do innych pism, moglibyśmy ich nie czytać nawet, a w każdym razie wolnoby nam wytchnąć sobie trochę; lecz gdy bezstronność redaktora „Tygodnia“ zniewolona jest umieszczać te rzeczy obok nas, gdy go bombardują listami, a to jeszcze nawet bezimiennemi, gdy sąsiadujem o szpaltę z naszymi przeciwnikami i prowadzić musiemy wojnę domową pod karą przyswojenia sobie przysłowia *qui tacet consentit*, położenie nasze staje się doprawdy godném pożałowania i przez wzgląd dla naczelnego Redaktora i dla naszych zajęć wołać musiemy rozpaczliwie: „Panowie, wstrzemięźliwości, litości! Albo idźcie dowodzić gdzieindziej, albo dowodźcie więcej, dobitniej, umiejętniej, pewniej.“ Na przykład na co nam się przydało owo przezacne, pełne niewzruszonej wiary ołobockie zapewnienie, że syzmy nie będzie, w chwili kiedy Ormianie odstąpili właśnie od Kościoła a ks. Pluym telegrafuje z Carogrodu, że Chaldejczycy od niego odstępują? To wszystko piękne, szczytne, ale niepraktyczne i „Tygodniowi“ nie przydatne.

Dopełniacz ołobockiego listu oznajmia znowu, iż w błąd wprowadzamy czytelników, gdy tak mniejszość jak i większość soborowa wierzą obie w nieomylność papiezką i że najmniejsze w tym względzie nie zachodzi między Ojcami nieporozumienie. Idzie tu jedynie o wczesność lub niewczesność udogmatyzowania. Odpowiadamy na to: Szanowny krytyk myli się zupełnie. Są wprawdzie Ojcowie, którzy sprzeciwiają się udogmatyzowaniu li tylko ze względu na jego wczesność. Inni zaś wręcz są przeciwni *osobistej* i *odrębnej* nieomylności Papieża. Gdyby jedynie o wczesność lub niewczesność chodziło, już by się dawno pogodzono. — Jak nieomylność Papieża można loicznie powiązać ze sprawą Polski? pyta szanowny korespondent. Powtarzamy: Bardzo mało mamy czasu i atłasu; odsyłamy go tedy do poprzednich naszych listów, by je raczył lepiej odczytać i oszczędził nam powtarzania.

Szanowny krytyk zarzuca nam, iż rościm sobie prawo do rozpraw religijnych. Owóż tych właśnie pragniemy uniknąć, bo wychodzą z zakresu naszych relacji. Usilnie prosiemy naszych krytyków, aby nam ich raczyli oszczędzać. Lecz jakże nie odpowiadać wcale i nigdy komuś, kto cię ma za nieuka i nieustannie chce uczyć? My nie mamy tak złej opinji o naszych przeciwnikach. Przypuszczamy u nich odmienne przekonanie, nie oskarżamy ich ciągle o niewiadomość. Nie wypada, nie przystoi nazywać ciągle przeciwne zdanie nieuctwem. Nigdybyśmy się nie ważyli wet za wet oddawać korespondentowi i przypisywać jemu a nie zecerom — tym Herostratom wszelkiego polskiego pisma — tak grubych n. p. błędów, jak umieszczenie pod rokiem 1189 Soboru poznańskiego (jest to jedyny w dziejach naszych argument na korzyść nieomylności, bo Sobór łucki inaczej się wyraził), który się odbył w XVII. wieku, to jest 1689; — albo też pisanie *ὁμονίσως* zamiast *ὁμοούσιος* od *ὅμοιος* i *οὐσία*. Wyraz *ὁμονίσως* nie istnieje w greckim języku: jest *ὁμόνοος* i *ὁμονοία*, ale znaczy jednomyślność, zgodę a nie współistność.

Gdybyśmy mieli czas potemu, to nie roszcząc sobie wcale prawa do „poinformowania“ i do nauczania naszego krytyka dowiedlibyśmy mu z historją kościelną w ręku, że wierzono wprawdzie zawsze w nieomylność papiezką, ale nigdy i przenigdy w sposób, w jaki większość soborowa chce ją dzisiaj orzec wbrew tradycjom, Ojcom Kościoła, pismu świętemu. Potrzebaby na to całego tomu. Niech więc szanowny krytyk nasz zostanie przy swojém zdaniu, ale niech nas raczy zostawić przy naszém. Jeśli on się czyni organem większości soborowej, niech ścierpi, abyśmy byli rzecznikami mniejszości, nie zaś nieukami, butnymi półgłówkami. Nigdyśmy nie twierdzili, że duch czasu, rezultat nowożytnych nauk i umiejętności stanowczo opierają się udogmatyzowaniu nieomylności Papieża. Twierdzenie takie byłoby *absurdum*, bo między naukami i umiejętnościami a nieomylnością papiezką związku niemasz, ale jest wielki między nią a polityką, gdyż skutkiem udogmatyzowania należałoby uważać za niemylne mnóstwo politycznych aktów papieży, którym charakteru *ex cathedra* zaprzeczyć nie można, a które historja i narody uznały za błędne i szkodliwe.

Ostatnie słowo dodamy. Jestto wiadomość dla naszego krytyka. Bellarmin, ów węgielny kamień dzisiejszych infalibilistów, sam niewierzył w osobistą i oddzielną nieomylność Papieża. W aktach jego beatyfikacji w archiwum kongregacji obrzędów znajduje się list Bellarmina do Klemensa VIII. dotąd nieogłoszony drukiem. Słynny teolog zaklina najprzód Ojca Świętego, aby natychmiast po przeczytaniu jego listu raczył go spalić, by komu nie wpadł w ręce, czego

Klemens VIII. szczęściem dla nas nie uczynił. Dalej radzi Papieżowi temu, który przyjąwszy pewne zdanie w arcy-zawiłém pytaniu łaski wkrótce zmienił to zdanie na wręcz przeciwne pierwszemu, aby nic nie orzekał nie dołożywszy się nasamprzód Soboru i nie poddawszy własnego sądu sądowi biegłych teologów. Bellarmin przypomina że inaczej mogłoby się trafić Klemensowi VIII. to, co się zdarzyło Janowi XXII. i Sykstusowi V. Pierwszy bowiem wyznawał o widzeniu ubłogosławionêm Boga opinją, która była następnie odrzucona przez Kościół cały, a drugi chciał poprawiać księgi święte podług własnego dowolnego widzimisię. Jednak Bóg, dodaje Bellarmin, ustrzegł Kościół swój święty od klęski, odbierając Janowi XXII. moc orzeczenia swego błędu, bo mu odjął życie.

Cóż by krytyk o nas powiedział, gdybyśmy się ośmielili orzec osobistą i oddzielną nieomylność Papieża „la plus grande insolence qui se soit encore autorisée du nom de Jésus-Christ“? A jednak te słowa napisał największy kaznodzieja naszego wieku, nieśmiertelny Ojciec Lacordaire, zakonu kaznodziejskiego.

Podzamcze, 14. Mają.

— Szanowny Redaktorze! Jakkolwiek w tym przedmiocie nie czuję się wcale kompetentnym i przerażony jestem temi głębinami nauki, jakich wymaga reforma pisowni, *ex cathedra* przez Dr. Rzepeckiego w teorji wyłożona w Dzienniku poznańskim, — jednakże czasem i prostaczkowi niemającemu takich zasobów wiedzy i pracy, jak Dr. Rzepecki, Dr. Wicherkiewicz, Dr. Leger i (zapewne też Dr.) Akielewicz ... wolno coś w tym przedmiocie przebąknąć.

Wiémy z góry, że kto w tym przedmiocie nie umie *tak* jak ci panowie, ten już *nic* umieć nie może — ale wszakże i niedoktoryzowanym trafia się przypadkiem na prawdę nastąpić. — Przyznaje się, że czytając rozprawę Dr. Rzepeckiego, więcej się przypatrywałem jego pisowni, niżeli krytyce programmu Towarzystwa, która do nas profanów nie należy. — Adeptom tylko tajemnic językowych wolno o tém przemawiać.

Z praktycznej zaś pisowni autora (bo nie znam niestety grammatyki uczonego ks. Malinowskiego i łączenia Wszechsłowiańszczyzny pod panowanie jednego Cara — alfabetu nie rozumiem potrzeby) — widzę jedno tylko. — Idzie tu o idealną pisownię fonetyczną (jeśli to czasem nie herezja tak ją nazywać?).

Taka pisownia, w którejby głosowi ściśle znak odpowiadał, nam się zdaje po prostu utopiją. Między głosem a znakiem związek logiczny być musi i jedno na wyrażanie podobnych dźwięków prawidło, ale ścisłe przeprowadzenie tego systemu do *absurdum* posunąć się może. — Znaki konwencjonalne, nigdy absolutnie wszystkich głosów wyrazić nie są w stanie. Dla tego pisownia choćby nie tak ściśle fonetyczna, a zachowująca historyczne ślady kształcenia się języka, wskazująca genezis wyrazów, pisownia etymologiczna (jeśli się ją tak nazywać godzi) byłaby nam pożądańszą. Wiemy to dobrze, iż i tu zupełnej ścisłości wymagać nie podobna; ale praktycznie rzeczy biorąc, ogólne zarysy dziś istniejącej, acz ułomnej pisowni, służyćby powinny za podstawę reformy i ujednostajnienia. W żadne radykalne przerabiania, pod pozorem idealnego jakiegoś systemu, któryby głosy znakami w zupełności chciał wyrażać, wdawać się tłum pospolitych jak my ludzi, wcale sobie nie życzy.

Więcej niż potrzebę wszechsłowiańskiego alfabetu, czujemy konieczność ustalenia naszej ortografij, zastosowując się do niezupełnie logicznie przeprowadzonej już istniejącej, tkwiącej w języku, z nim związanej i historycznie uprawnionej, choćby przedawnieniem tylko.

Wszystkie pokuszenia o całkowite przerobienie z gruntu prawideł pisowni, nietylko u nas ale i gdzieindziej się niepowodziły. — Wiemy, że miłość własna twórców nowych systemów, aż do namiętności posunięta, gotową jest na walki *de lara caprina*, na szermierki zjadliwe i oplwanie nieprzyjaznych, by na swojém postawić, ale zdrowy rozsądek ogółu sprzeciwi się tej kołowaciźnie uczonej i dozwoli nam spełnić reformę bez rewolucji, gwałtu i wywrotu, pod pozorem ulepszenia. Acz głos niepowołanego nie może mieć wielkiej wagi w sprawie, do której tylko uczeni mężowie są powołani, należy zważyć, że poczucie ogółu, którego on jest wyrazem, także coś waży. — Ogół jeśli nie ma głębokiej świadomości rzeczy, ma instynktowe poczucie kresu i miary, możliwości i słuszności pracy.... I te coś są warte. Szanuje on naukę, ale nie zchodzi z gruntu rzeczywistości i ceni swą przeszłość a pozostałą po niej spuściznę.

Co się tyczy wyborów deputatów, miejsca i środków, jakiemiby zgodę powszechną na uchwały komisji uzyskać można; jedno tylko do wypowiedzenia mamy. Ma słuszność Dr. Rzepecki, pragnąc aby nad sprawą językową czyli raczej przygotowawczą i przed grammatyczną — radzili ludzie, którzy przedmiotowi temu się poświęcili i zgłębili go, jednakże nie tacy, którzy z gotowém prawem przychodzą i swojego wniosku bronić będą, usiłując go nam narzucić.

Człowiek, nawet doktór filozofij ma słabości ludzkie, a miłość własną doktoryzacja, zpotęgowuje raczej niż osłabia... Wotujemy więc za uczonemi, ale nie wplątanemi w żaden system i gotowemi roztrząsać wnioski rozliczne, z chłodną krwią ludzi nieuprzedzonych. Dziennikarzy, literatów, drukarzy i ludzi nie namaszczonych do Komisij nie potrzeba. Powaga najwyższego trybunału zmusi ich do posłuszeństwa.

Lubicz.

Z dekanatu **Ołobockiego**, d. 22. Kwietnia.

Korespondent Tygodnia twierdzi, że udogmatyzowanie nieomylności Papieża odgraniczy murem chińskim nowożytny świat od Kościoła. Zastanawiałaby cokolwiek ta groźba, — która dziś zużytym stała się kumunałem, gdyby i inne dogmata, cały ustrój Kościoła nie był w mniemaniu tego świata onym murem dzielącym go od sfery objawienia. Pomiędzy nowożytnym światem urągającym się z każdej prawdy nadprzyrodzonej, z zasad moralnych i świętych, które dotychczas były źródłem szczęścia domowego i publicznego, pomiędzy światem powtarzamy — piszącym się jedynie ua to, czego się rozumem dojdzie, zmysłami dostrzeże a Kościołem katolickim nie widzimy jak na dzisiaj żadnej drogi mogącej zbliżyć a tém mniej pogodzić dwa te całkiem różnej natury światy, — objawienie zakreślające pewne rozumowi granice a uświęcajace uczciwe badania nauki, a postęp nowożytny, którego celem jedynym jest utworzenie sobie szczęścia na ziemi a bożyszczem rozum i tylko rozum. Żądane porozumienie pomiędzy obu temi światami jedynie by nastąpić mogło, gdyby albo Kościół zupełnie wyrzekł się swego posłannictwa w dziejach i wyzuł się z charakteru nadprzyrodzonego, czego, nie chcąc się sprzeniewierzyć niebieskiemu Oblubieńcowi, uczynić nie może, albo gdyby świat nowożytny uznał powagę moralną Kościoła i oddał Bogu, co jest boskiego — tertium non datur. Usiłowanie pogodzenia Kościoła znowożytnym postępem na innej drodze — nie doprowadzi do żadnej stałej ugody i pozostanie na zawsze nierozważném co najmniej, jeżeli nie podejrzaném desiderium. Wszelako choć kościół wymaga posłuszeństwa i zobowiązuje nawet sumienia wiernych we wszystkiem, co się do praw wiary i obyczajów odnosi, nie potępia wcale postępu uczciwego a rzetelnego, bo działa w Kościele Chrystus Pan, co prawdą wiekuistą obalił przesądy i zabobon pogaństwa, światłością nieba rozwidnił umysły, a wyjarzmiwszy duszę z pod przewagi ciała, uzacnił rozum ludzki, czyniąc go sługą nie namiętności i przemocy czém był rozum rzeczywiście w czasie przedchrześciańskim, ale prawd odwiecznych — samego rozumu Bożego, który jest i jego źródłem i twórcą. Nie jest też Kościół wstrętny wolności prawdziwej ani rozwojowi społecznemu, bo przecież wszystko, czem się wiek dziewiętnasty słusznie pochlubić może, jemu tylko zawdzięcza. Kościół to zniósł owe szatańskie cyrki, przywrócił nieszczęśliwym skazańcom godność i prawo człowieka — Kościół to zniósł wielożeństwo, kobietę wyzwolił z pod przewagi mężowej i wyniesieniem małżeństwa do godności sakramentalnej, utrwalił pokój i szczęście rodzinne. Kościół to w wiekach średnich zniósł stanowczo wybryki stanu rycerskiego i zaprowadził owe błogie „treuga Dei“ potępił ordalie, sądy Boże, występował przeciwko palenia czarownic i t. d. W obec władzy świeckiej często nadużywającej stanowiska i praw swoich — papieztwo broniło sprawy pokrzywdzonych ludów, prosząc na rany Chrystusowe, aby królowie mieczem swoim bronili tylko prawdy i rzetelnego dobra swoich poddanych. A i za dni naszych Kościół występując w obronie Murzynów, szczepów dzikich a tyle poniewieranych przez oświeconych Europejczyków — dowodzi wymownie, iż pragnie wszystkie ludy miłością ewangeliczną pobratać i w jedną złączyć rodzinę. Kościół też nie potępia wcale nauk świeckich, owszem każdą gałęź wiedzy ludzkiej, byle ją uprawiano w sposób przyzwoity a uczciwy — znajduje w nim szczerego opiekuna, i tylko wtedy gromi mądrość tego świata, kiedy rozum jej nadużyje i do błędnych a z objawieniem niegodnych dojdzie rezultatów.

Prawdziwych zatém przyjaciół wolności, postępu i rozwoju spółecznego Kościół w każdym czasie gotów jest do swego łona przytulić jako kokosz swe pisklęta, bo przecież Kościołowi powierzył sam Chrystus Pan to szczytne posłannictwo — zbawiać i uszczęśliwiać ludzkość. Łatwem mniemamy, jest pogodzenie się prawdziwych przyjaciół wolności i postępu z Kościołem — a jednak pomyśli sobie może niejeden czy-

telnik, jakżeż pogodzić to nasze twierdzenie z nowożytną historią samych krzywd, obelg i napaści na Kościół? Otóż cały ten paradoks dziejowy nowych czasów — dla wielu zagadkowy i ciemny — tém się jedynie rozwięzuje i tłumaczy, że świat nowożytny błędnie pojmując wolność i oświatę do zupełnego dąży wyjarzmienia ciała i zmysłów z pod wpływów Boga i duszy — do zupełnej negacyi prawd wiekuistych, tyle zbawiennych i świętych, których Kościół niezłomnym jest obrońcą.

Gdyby przewrotny liberalizm wziął górę po nad zasadą chrześciańską i wytrącił kościołowi władzę nad sumieniami, wtedy upadłby na ziemię dotychczasowy porządek moralny utrzymujący w karbach posłuszeństwa namiętności ludzkie skuteczniej aniżeli bagnety i cytadele — wtedyby przed widmem straszliwej, rewolucyi socyalnej uszłoby na zawsze z rodzin chrześciańskich szczęście domowe, z sumień spokójby uleciał — wtedyby płomień szlachetnych idei i pragnień zastygłby zupełnie w sercu zbydlęconém żądzą używania świata i chuci jego. Przewrotny ten liberalizm nietylko że podkopuje wiarę w prawdę objawioną, ale obdziera człowieka z najświętszych praw i zalet jego — bo zaczepia dogmat o nieśmiertelności duszy, wyryty przez Stwórcę samego w sercach ludzkich. To też skutkiem pomieszania najprostszych pojęć i tego wyjarzmienia się z pod powagi Bożej — ludzkość dziś do tyle upadła, że idee wyższe nie stanowią jak w okrzyczanych z barbaryzmu wiekach średnich potęgi moralnej, coby całe massy poruszyć mogła do czynnej obrony prawdy i sprawy pokrzywdzonej. Dziś pieniądz, dobrobyt materyalny, przemysł i handel stały się bożyszczem ludów, dla którego nie szczędzi się sumienia, wiary i ojczyzny. Słusznie z wieszczném naszym Zygmuntem powiedzieć można:

„Wszystko świeckie dziś pełne podłości,
Ludzie zagrzęzłszy na wygód mieliźnie,
Gorzej umarli, niż umarłych kości,
Świecą dusz pruchnem po życia płaszczyźnie.
Świat dziś kałużą rozmiękłego błota
W której się wala bóg ich — cielec złota!
Wszędzie stek kupców, wszędzie ród kramarzy
Ze wszystkich plemion najnędzniejsze plemię
Z czołem podobnem gdy je hańby brzemię
Tłoczy, z natchnieniem gdy o zysku marzy.
A wtedy tylko rozpaczy wyrazem,
Gdy na ich giełdach spadną ceny razem.
Żaden umierać już nie jest gotowy.
Więc umrą wszyscy! i o złej godzinie
Bo gdy myśl zgasła, świat tej myśli zginie
I na ruinach powstanie świat nowy!“

Zapytacie się może niejeden, czemże się to dzieje, że liberalizm przewrotny tak wstrętny szlachetnym popędom duszy ludzkiej, tak wielki wywiera wpływ na ludy Europy, którym równie na widowni dziejowej jak w pożyciu społeczném i ognisku rodzinném tak dobroczynnie przyświecało przez tyle wieków światło chrześciaństwa, łagodząc burzliwe namiętności i zapalając ducha do poświęceń prawie nadludzkich za sprawy najżywotniejsze, bo religji i chrześciańskiej wolności? Liberaliści dzisiejsi nie liczyliby zapewne tylu zwolenników, gdyby nie umieli pokryć zasad swoich górnobrzmiącemi frazesami — wolnością, wiedzą i postępem. Bo zaprawdę dzisiaj te wyrazy, wolność i postęp czarodziejski wpływ wywierają na umysły ludzkie, dla tych pojęć tak się wielu obłąkać daje, że porzuca ołtarze przodków, zaprzedaje sumienie i wypiera się wszystkiego co szlachetne i ludzkie. Zaiste! wiek XIX. byłby wiekiem zbawienia i uszczęśliwienia ludów, zamieniłby ten padoł płaczu na istotny raj szczęścia, gdyby ta wolność, ten okrzyczany postęp opierał się na powadze Bożej, gdyby był tyle pokornym, iżby uchylił czoła przed Najwyższym, który jest źrodłem wolności i prawdziwego postępu. Niestety! ludzkość wyłamująca się z pod powagi Bożej dziś tak nisko upadła, że w imie wolności narzucają pęta na sumieuie, wydzierając wiarę świętą że w imie publicznego dobra nie pytając się o granice, jakie Bóg wszechmocną ręką narodom zakreślił, zaokrąglają mocarze swoje posiadłości i każą człowiekowi zaprzeć się świata duchowego, pozagrobowego. Widocznie Bóg odebrał rozum przewrotnym tym głowom, pomieszał języki i pojęcia i ztąd taki chaos w głowach, nieład w sercu, nierząd w życiu — istna wieża Babel.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Nowe Książki.

Karol Miarka. Literatura ludowa w górnym Szlązku. — Drukarnia w Królewskiej Hucie. 1868—1870.

Są cuda na ziemi i niebie, o których się nie śniło filozofom. — Tak! Jeśli kto to my przypatrując się losom naszej narodowości od czasu rozcwiertowania Polski, możemy te słowa powtórzyć z poetą...

W tych dziejach naszych pogrobowych ażali nie wszystko jest cudem i tajemnicą! Upadek ducha w tych, w których by on powinien królować, odrośnięcie jego tam gdzie powinien był zginąć; odezwanie się uczucia gdzie zgasło, zamarcie w tych, w których było najgorętszém, rzadko się prostym ludzkim rozumem wytłumaczyć dadzą.

Do takich fenomenów, któreby opatrznościowemi nazwać można, należy wzmożenie się i uznanie własnego bytu narodowości polskiej w Prusach zachodnich i na Szlązku... Rzuciliśmy dziś okiem przypadkowo na cały stos listów tego biednego pracownika zapomnionego niemal, który na Szlązku rozbudził życie polskie — starego Lompy, potém na zbiór Gwiazdki Cieszyńskiej, potém na publikacije wychodzące z pod piór i pras na górnym Szlązku w Królewskiej Hucie.

Cała ta literatura ludowa, szczególniej Szlązka, dla chcącego się zastanowić i badać fenomena życia narodowości jest niezmiernie zajmującą. Wyrobiła się ona sponte ze swym językiem, formą, myślami, dla ludzi innej klassy, niżeli ta która u nas zwykła żyć literaturą. Jest to rodzinny produkt, na ktorym ani klasycznego ukształcenia, ani tradycji piśmienniczych, ani teorij estetycznych nie widać. Dla tego też tém więcej jest zajmującą, tém wyraziściej sama sobą, tém dla psychologa przedmiotem ciekawszym. Są to książki pisane w większej części nie przez literatów, ale przez nauczycieli wiejskich, przez włościan samych, przez pragnących oświaty i odgadujących ją robotników. W Królestwie, w Litwie, na Rusi, w Galicji, w Poznańskiem książka ma barwę europejską, ma cechę bardziej kosmopolityczną, ma formę naśladowaną, tradycyjną; wychodzi ona dla bogatych, pisana przez ludzi, którzy się poświęcili nauce i literaturze. Tu rzecz wcale inna. Książkę pisze dziécie ludu dla ludu samego. Niema ona wykwintnej powierzchowności, język jej inny, sfera myśli różna... przedmiot i treść dla nas nowa.

W XIX. w. przypomina się nam często XVI. w tych naiwnych broszurach i opracowaniach serdecznych, pełnych prostoty...

Tylko pedanterja ciasna może podobny fenomen odepchnąć, nieusiłując go badać — i odnosić po za granice, od których się literatura poczyna.

Jest to najdroższe ziarno Boże, które z samej ziemi naszej, siłą jej własną się rodzi. Nieraz czytając w Gwiazdce Cieszyńskiej trafne rozmowy ludowe, jego językiem pisane, a teraz w Katoliku wychodzącym w Królewskiej Hucie polemikę z górnikami; żal się nam robi, że pycha i zarozumiałość ludzi, dla których myśl potrzebuje pewnego munduru, aby ją wpuszczono na pokoje — odpycha te zjawiska niedając ich poznać szérszym kołom i zaniedbując jak coś zaledwie zasługującego na uwagę.

Wprawdzie każda z naszych prowincij ma swoje troski i swoją biedę, którą klepać musi, ale powinniby się znaleść ludzie wyżsi, zamieszkujący one *templa serena* poety, i z góry obejmujący całość wszystkich objawów stanowiących nasze życie narodowe. Dla tego, co by z wysokości pewnej, umysłem i oczyma nie uprzedzonemi spójrzał na te usiłowania wydobycia światła z siebie, narodowości uciśnionej, walczącej, stłumionej — ileż by się objawiło pełnych znaczenia faktów w tej literaturze pieluszkowej!. Pomyślmy, że to odrodzenie o własnej sile w Prusach zachodnich i na Szlązku przychodzi własnie w chwilach, gdy prześladowana Polska niczem nie nęci, oprócz męczeństwem i niedolą.

Pomyślmy jeszcze, ża to piśmiennictwo ubogie a samoistne, strzela z łona ludu, który nigdy u nas ani życia odrębnego, ani literatury oprócz pieśni prastarych nie miał.

Potém zacząwszy od usiłowań Lompy, od pracy Stalmach'a, — bierzmy z kolei ksiażeczki wyszłe z pod pras tutejszych, i nie gardząc ich prostotą wnijdźmy w ducha ich, w rozwinięcie, w naturę, nawet w formy... a studjum się to nagrodzi wnioskami wielce pocieszającemi.

Nie możemy zbyt obszernie rozwodzić się w tym przedmiocie, jest ich za wiele, które objąć potrzebuje dziennik — jednakże pominąć nie zwróciwszy uwagi tej bujnej łąki pełnej kwiecia dzikiego... niegodzi się.

Z czytania ciągniemy przekonanie jedno, że ten lud pochopny ku światłu, pragnący wykształcenia, w jeden sposób praktyczny tylko mógłby prędko, przebywszy owo studjum przygotowawcze do życia, w którém zostaje — podnieść się na wyższy stopień. Tym środkiem w oczach naszych byłoby rozpowszechnienie jak największe pisarzy naszych klasycznych, począwszy od najlepiej tu do ducha przystających XVI. i XVII. w. aż do XIX.

Literatura XVI. i XVII. wniosła by tu zagasłe tradycje, językowe, duchowe, religijne, społeczne... literatura XVIII. i XIX. metodą najlepszą, bo historyczną, doprowadziłaby lud do stopniowego podzwignięcia się aż do kultury jakiej dosięgła literatura nasza czasów ostatnich. — Niepowiadam by wszystko tu dziś trzeba poznać, ale bardzo wiele jest konieczném. Odłamana ta gałęź narodu znowu by do pnia macierzystego przyrosła.

Tania taka bibljoteka jak była Turowskiego, tylko inaczej ułożona i praktyczniej przedsięwzięta nie ocenioną by była dla osiągnięcia celu, o którym mówiemy. Gdybyśmy byli narodem żywym, dbałym o każdą odpadającą część całości, naówczas pierwszą sprawą publiczną, pierwszą pracą obywatelską powinnoby też być stworzenie takiej biblioteki historycznej dla ludu.

Ale niech Bóg uchowa by się to dostało w ręce jakich niedowarzonych propagatorów idei politycznych i społecznych, którzyby jak Mrówka w swej bibljoteczce drukowali Asanów i t. p. niebezpieczne i niewiele warte produkcje demokratyczne.

W pewien sposób Biblioteka ludowa Wł. Mickiewicza byłaby tu najlepszą może, ale format, druk, papier czyni ją niemożebną. W ostatku trzebaby, stworzywszy coś, pojechać na Szlązk i zająć się samemu propagowaniem dwu i trzygroszowych przedruków.

Czcze to dziś marzenia! ani ludzi, ani grosza, ani woli, ani wytrwałości nie mamy.

Spuśćmy się więc na Boga, który z tej dzikiej płonki bujnej a prosto strzelającej w niebo... wyprowadzi drzewo dobrego owocu...

Mało kto u nas wié może, iż na górnym Szlązku w Królewskiej Hucie jest pewne ognisko żywota i oświaty, i że tam drukarnia Karola Miarki wydaje oprócz Katolika, wychodzącego już tygodniowo rok trzeci, broszurki dla ludu, ba nawet takie z któremi lud polemizuje.

Najstarszą z tych książeczek wydanych przez Karola Mierkę, jeszcze u Teodora Heneczka w N. Piekarach, była powieść: Szwedzi w Lędzinach, powieść górno szlązka z 30-letniej wojny...

Pan Karol Miarka, był naonczas nauczycielem w Pielgrzymowicach w pszczyńskim powiecie. — Nie mówiąc już o literackiej wartości powieści, widziemy w niej naprzód tę arcychwalebną myśl, że autor ją czerpał z dziejów własnej prowincji. Pisana dla ludu w duchu ludu, na celu ma okazanie potrzeby posłuszeństwa władzy duchownej. — Lędzin buntuje się przeciwko Biskupowi, rzucono na nich klątwę kościelną... a Bóg zsyła Szwedów... Lędziny zostają zburzone a wojska biskupie i pszczyńskie oswabadzają od nich po wycierpianej karze i pokucie. —

Autor kończy tem wezwaniem: „Od kilku lat zbieram powieści i legiendy naszego Szlązka-Górnego. Lud nasz, jak się o tém przekonałem, zachowuje w ostatniej tradycji (?) mnóstwo powieści, historyjek i legend, o swych kościołach, kaplicach, świętych krzyżach i obrazach na słupach lub na drzewach umieszczonych, jako też o ważnych zdarzeniach z przeszłości. Bardzo wiele mógłbym z nich korzystać, gdyby mi było nadesłane i nie jedną napisałbym powieść.

„Nie lękaj się kochany wieśniaku, że twoje pisanie nie przeczytam, lub że doniesienie twoje będzie mi obojętne, owszem za każdą datkę (?) będę bardzo wdzięczny. Można, że działki twoje napisać potrafią, lub proś twego pana nauczyciela, także i twój ksiądz pleban pewnie podejmie się tej pracy, aby mi posłać powiastkę lub datkę historyczną w prostym języku ludowym... Pomagajcie mi kochani współrodacy w pracy około uszlachetnienia ludu naszego, dla którego pracować będę, — aż mnie pan Bóg powoła z tego świata. Amen.“

Tak, zaprawdę w rozczulający sposób kończy się ta książeczka... Obok P. K. Miarki postawcie teraz jako reprezentantów literatur różnych prowincij Polski... choćby na Galicję... (nomina sunt odiosa) kogokolwiek, i na Poznańskie i na Królestwo... zmierzcie język, myśli i idee — a niewiem czy nie uczujecie, że tu rośnie literatura od... korzenia tam szczepiona na płonkach...

Dla tego też — naturalista może ciekawiej pragnąć się przypatrzéć temu co sama ziemia wydaje.

Drugą książeczką już wydaną nakładem księgarni Karola Miarki w Królewskiej Hucie, a czcionkami jeszcze Tomasza Nowackiego w Mikołowie, staraniem zaś kilku księży górnoszlązkich i nakładcy jest: Pius IX. Pamiątka 10. Kwietnia 1869. jako dnia jubileuszu 50-tetniego kapłaństwa Ojca Świętego. — Dochód z tego dziełka był przeznaczonym na ofiarę dla „Kościoła Piusa“ w Berlinie. (1869. 8. 84 str.) — Rzecz jest wzięta ze źródeł ogłoszonych do żywota Ojca Św... a opowiedzianą w sposób popularny. —

W r. 1869. wyszli także Żuawi, zdarzenie z najnowszych czasów, dramat w 2. aktach napisał Karol Miarka, 8. (Nakł. i druk K. Miarki. Królewska Huta — 8. 33 str.).

Jest to, jeśli chcecie — jakby dalszy ciąg poprzedzającej książeczki o Piusie IX... Treść nadto charakterystyczna abyśmy ją pominąć mieli, chciaż od wszelkich nad nią uwag się wstrzymamy. W pierwszym akcie u państwa Dębskich, zamożnych obywateli, syn ich jedynak Stanisław wybiera się służyć Ojcu Św. jako Żuaw, w obronie świeckiej władzy przeciw napaści Garybaldczyków. Matka się obawia o los dziecięcia. Ksiądz przybyły namawia ją do tej ofiary, ojciec daje synowi szablę po Sobieskim i błogosławi mu na wyprawę. Cała ta scena bardzo naiwnie się rozwija... Osobliwszą rzeczą, jest język, czasem przypominający stary nasz to wyrazem, to zwrotem, czasem dziwnie nie poprawny.

W drugiej scenie rzecz dzieje się w chacie ubogiej wdowy Marysi. Lipy, która z dwojgiem dorastających dzieci, synem i córką cierpi z powodu, że nabytą chatę i grunt od złego sąsiada Dołęgi... chociaż opłacił mąż nieboszczyk, ona kwitu wynaleść nie może. Ubóstwo w chacie tej, ale poczciwe dzieci Antoś przynosi dwa talary dane mu przez panicza, Franka talara za robotę i ofiarują je matce... W trzeciej scenie te talary, wraz z innemi mnogiemi ofiarami znajdują się złożone dla Ojca Św. przez ubogie dzieci... Antka bierze p. Stanisław z sobą jako Żuawa dla Ojca Św. Dziwnie się to jakoś wydaje, że syn opuszcza matkę w nędzy... ale... ale sprawa wiary i Kościoła idzie przedewszystkiém. Tym czasem w rok poźniej wdowie ów niepoczciwy Dołęga odbiera chatę... Ona i córka mrą głodem... Sługa sądowy posila je chlebem... gdy... nadjeżdża Żuaw ozdobiony medalem od Ojca Św. z powrotem z Rzymu.

Medalik ów, droga relikwija zatacza się za szafę... odsuwają ją i za nią znajduje się kwit Dołęgi, który ocala wdowę... Skutek cudowny błogosławieństwa Ojca Św. W tejże chwili dwór niecnego Dołęgi się pali. — Sprawiedliwość Boża wypełnia. — W dramacie tym ludowym pełno najgorętszych wyrażeń czci dla „Papieża i Króla“ cały on przejęty najżarliwszą miłością dla głowy Kościoła.

W tymże duchu napisana, z równą prostotą: Górka Klemensowa powieść odnosząca się do zaprowadzenia chrześciaństwa w Szlązku, oparta na podaniach ludu górno-szlązkiego (Królewska Huta, nakład autora 1870. r. 8. str. 90). A już w tym roku i własną widziemy drukarnią p. Karola Miarki, która jak na ludowe książeczki — starczy dobrze.

Ale ze wszystkich wydanych dotąd, najciekawszą jest: Przyjaciel górników i robotników czyli wskazówka jakim sposobem się z niedoli ratować i przed grożącém niebezpieczeństwem ocalić mogą (Król. Huta. Nakład i druk K. Miarki 1870. 8. str. 47). W niej Karol Miarka jako moralista, występuje wyrzucając górnikom i robotnikom ich wady i szukając na nie rady w poprawie obyczajów. Z przedmowy dowiadujemy się, że Miarka jest prezesem kółka katolickiego w Królewskiej Hucie i 500 członkom jego przewodniczy.

Rzecz przedstawiona w sposób żywy, dramatyczny w rozmowie Jana, który był górnikiem 20 lat, a teraz żyje na swej zagrodzie, Pawła, który był 12 lat robotnikiem w Kr. Hucie, niżeli objął ojcowskie gospodarstwo, Józefa młodego górnika i zwolenika Gewerkvereinu, Wojciecha dawnego nauczyciela.

Wielka kwestja społeczna występuje tu w formie bardzo zwyczajnych życia robotniczego zagadnień. (Dokończenie nastąpi.)

Rozmaitości.

— Dowiadujemy się, iż wydanie drugie ksiegi, która w swym czasie tak wielkie u nas wywarła wrażenie, a pozostanie w literaturze jako jedno z najznakomitszych dzieł filozoficznych polskich: Ojcze nasz, nieznanego autora, ukaże się w krótce.

— Komitet Stowarzynia Pomocy Naukowej w Paryżu, urządził dnia 12. Maja drugi wieczór muzykalno-literacki, w którym udział brali P. Stan. Kątski, Panna Wanda Wagner, Pani Szermentowska, Włads. Żeleński, Wiktor Mirecki i Ferd. Dulcken... Pani Szermentowska, którą niegdyś widzieliśmy z wielkim talentem występującą w amatorskich przedstawieniach Teatru Dobroczynności w Warszawie, wypowiedziała ustęp z poematu Słowackiego: Kordjan (w przeszłość patrzę ciemną...) i piękny ustęp z poematu Bohdana Rastawicy — Zwykłe dzieje, z muzyką Wład. Żeleńskiego...

Nowy Maj zakwitł w różnobarwnej pysze,
Wonnym kobiercem nad groby świeżemi
I chwast stepowy zwolna się kołysze,
A wkoło wszędzie na tej polskiej ziemi
Cisza zaległa. Znacie wy tę ciszę,
Co na pierś padnie, kiedy ją oniemi
Rozpacz, gdy żalu i boleści siłą,
Serce, jak Niobe — w głaz się zamieniło?
....

— W tych dniach — naczelnik urzędu budowniczego miasta Lwowa P. Przybyłowski, któy zwiedził celniejsze w Niemczech gmachy zakładów naukowych, w celu obeznania się bliższego z nowemi w nich ulepszeniami, przejeżdżał przez Drezno. Rada miasta Lwowska poleciła odbyć tę podróż p. Przybyłowskiemu, który plany na nowe budowy szkolne we Lwowie ma nakreślić.

— **Rolnik**, organ urzędowy c. k. galicyjskiego Towarzystwa Gospodarskiego (redagowany p. p. Ant. Jabłonowskiego) w poszycie Majowym daje pogląd na stan ozimin i zasiewów, który zdaje się obiecywać dobre w tym roku urodzaje; w Czortkowskiem, w Tarnowskiem, Złoczowskiem, Sokalskiem, Rawskiem, Żółkiewskiem, nad Sanem około Medyki, żyta w ogóle wyszły z zimy piękne. Rzadko gdzie wiatry im późniejsze zaszkodziły.

Na Szlązku żyta i przenice mają być tak liche, że po większej części przeorać je będzie trzeba, tylko wcześne posiewy jako tako przezimowały. — Na Szlązku pruskim opóźnione oziminy wiele nie rokują... Z Prus wschodnich nowiny nie są pocieszające — Poznańskie ma mieć oziminy dobre, ale mrozami uszkodzone i nieco spóźnione.



— Odbieramy następujące zapytanie z księztwa Poznańskiego, którego treść podajemy chętnie, ofiarując i inne tego rodzaju pytania i odpowiedzi ogłaszać.

„Czy niemoglibyśmy za pośrednictwem pisma Waszego, które się rozchodzi i po Francji otrzymać krótkie objaśnienie o praktyczności, cenie, i możliwości zastosowania machiny parowej tak zwanej „domowej“ którą zalecają pisma francuzkie. Machinka ta p. Fontaine (Mignon i Rouart konstruktorowie, ulica Oberkamff. 149 i 151) ma być użyteczną w przemyśle na małą skale i bezpieczną a daje siłę jegnego człowieka, niewielkim wydatkiem paliwa. Ma być łatwą do obejścia, niewymagającą ani miejsca wiele, ani zachodu. Czy kto z ziomków zamieszkałych w Paryżu nie mógłby nam dać o tém bliższych szczegółów. (Machiny parowe domowe są w ruchu pod wymienionym adresem.)

— Na zapytanie wystosowane co się stało z Pantheonem wiedzy ludzkiej, dziełem pośmiertnim ś. p. Br. Trentowskiego, odpowiedzieć nieumiemy. Wiadomo nam tylko, że Dr. Libelt zapowiedział to wydanie i że ono przedsiewsiętém być miało przez księgarnię J. K. Żupańskiego. Czyli druk rozpoczęty lub jak prędko nastąpić, może, nie jest nam jeszcze wiadomo. Spodziewamy się wszakże w krótce o tém szczegółową Korrespondentowi udzielić wiadomość.

Wydawca i odpowiedzialny Redaktor: **Józef Ign. Kraszewski** w Dreznie. — Nakładem i drukiem **J. I. Kraszewskiego** w Dreznie.